



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

DZIEŃ ZADUSZNY. *)

2 Listopada.

Dzień ten poświęcony jest pamięci zmarłych. Czy wiesz, Henryku, ku jakim zmarłym wy, dzieci, powinniście w tym dniu wasze myśli zwrócić? Za kogo powinniście westchnąć do Boga. Za tych, którzy dla was pomarli! Czyś nigdy nie pomyślał o tem, ile to ojców ciężką pracą skraca sobie życie, ile matek przedwcześnie schodzi do grobu, wycieńczone niedostatkiem, jaki znoszą, byle tylko dzieci swe wyżywić. Czy wiesz, ilu ojców umiera z bólu, że zmuszeni są widzieć dzieci swe w gorzkiej nędzy, i ilu matkom przy stracie dziecka serce pęka. Pomyśl w tym dniu, Henryku, o wszystkich tych zmarłych. Pomyśl o wszystkich tych nauczycielkach, które w młodym wieku zgasły, sterane trudami szkoły, z przywiązania ku dzieciom, z którymi nie miały serca się rozstać. Pomyśl o lekarzach zmarłych na zakaźne choroby, na które narażali się przy ratowaniu dzieci. Pomyśl o wszystkich tych, którzy na tonącym statku, w pożarze, wśród nędzy i głodu, w chwili największego niebezpieczeństwa po-



dawali dzieciom ostatni kawałek chleba, ostatnią deskę ratunkową, ostatnią linę, która mogła ich z płomieni ocalić, i konali szczęśliwi, że mogli ponieść ofiarę, byle tylko młode uratować życie. Każdy cmentarz zawiera tysiące tych zacnych istot, które gdyby na chwilę mogły powstać z grobu, wywołałyby imię dziecka, dla którego poświęciły uciechy młodości, spokój lat starych, wiedzę i życie; dwudziestoletnie matki, ojcowie w kwiecie wieku, zgrzybiali starcy, młodzieńcy — bohaterscy i nieznani męczennicy dziecięcego świata — tak szlachetni, tak wzniosli, że ziemia nie jest w stanie tyle kwiatów wytworzyć, ile powinniśmy na ich grobach złożyć. Tak to was kochają, dzieci! Pomyśl dziś z wdzięcznością o tych zmarłych, pomódl się za nich z całego serca, a będziesz lepszym i czulszym dla wszystkich tych, którzy cię kochają i pracują dla ciebie, kochany mój i szczęśliwy chłopcze, który nie masz w ten Dzień Zaduszny niko- go do opłakiwania.

Twoja Matku.

*) Z dziennika ucznia (Serce) E. Amicis'a.

WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

Oczy jej poweselały po napisaniu tego listu, zdawało jej się, że nowe jakieś siły w nią wstąpiły. Zaadresowawszy kopertę, wsunęła ją do szufladki biurka, poczem udała się do pokoju ciotki z listem babki Domiceli.

Pani Kantowa kończyła oczyszczać melon, który miała nazajutrz usmażyć na konfiturę.

— Miałam właśnie się dowiedzieć — rzekła — dobrze żeś sama przyszła, jakże się czujesz, kochanko?

— Bardzo dobrze — odparła Cesia.

— Posłałam ci list panny Domiceli, ale spałaś wówczas podobno, czyś go znalazła? — spytała pani Kantowa.

— Przyniosłam go właśnie; babcia pisze, że leży w łóżku, prosi, żebym do niej na parę tygodni przyjechała — odparła Cesia.

— Zapytam jutro doktora, jeśli pozwoli, rada będę, że się trochę rozerwiesz i odetchniesz na świeżem powietrzu — rzekła pani Kantowa.

Cesia spodziewała się pewnego oporu, ze strony ciotki, zapomniała, że pani Kantowa nigdy siebie nie ma na myśli, lecz drugich i teraz, ani w jej myśli stanęło, że odjazd Cesi osamotni ją, że znowu pusto będzie w jej domu, jedynie o tem pamiętała, że chora staruszka potrzebuje Cesi opieki i że świeże powietrze może powrócić szybciej siły dziewczynie. Wdzięczna za jej pocziwe serce, Cesia uściskała ciotkę serdecznie.

— Będę dobrze wspominała chwile tutaj spędzone — rzekła głosem wzruszonym — ciocia była dla mnie zawsze bardzo dobrą.

Mimowoli wypowiedziała to, czego nawet jeszcze sama przed sobą wyraźnie nie wyjaśniła, że ma ochotę zamieszkać na stałe w Lisicach.

— Alboż ty na zimę nie wrócisz? — zapytała ciotka — przecież nie skończyłaś kursu ogrodnictwa.

— Gdy babci będę nie potrzebną, powrócę — odparła.

Lekarz nie tylko, że nie zabronił Cesi jechać na wieś, lecz przeciwnie radził, aby jak najprędzej skorzystała z zaproszenia; dotrzymała więc dziewczynka słowa i w końcu tygodnia uściskała pannę Domicelę, która zobaczywszy ją spłakała się z radości.

I pani Szarska rada była z przybycia Cesi, gdyż cały trud gospodarstwa spadł na jej wątłe ramiona; miała nadzieję, iż Cesia ją wyręczy.

— Niebo cię zesłało, ma chère Cécile — rzekła sentymentalnym tonem — umierałam nieraz ze zmęczenia; chora, ogród, gospodarstwo... to zawiele na moje stare siły!

— Chorą, ogród i domowe gospodarstwo z ochotą wezmę pod swoją opiekę, jeśli babcia mi zaufa — odpowiedziała Cesia całując rękę pani Szarskiej.

I zabrała się zaraz nazajutrz energicznie do pracy.

Płactwo zbudziło się już i wesołym świągotem napęniało wielki ogród Lisicki, zdawało się cieszyć pogodnym porankiem, błękitem niebios, kwiatami, których woń leciała do nich od klombów, szumem starych drzew i całym tym pięknym światem, jaki je otaczał.

Ogród dzielił się na dwie części; jednej celem było jedynie piękno, drugiej pożytek. Pierwsza część nosiła nazwę parku, lecz prócz cienistych alei były tam i klomby i rabaty artystyczną ręką urządzone; w ramach z bukszpanu kwitły werbeny, bratki, róże herbaciane, oraz inne kwiaty. Druga część nosiła nazwę sadu, ta była pocięta na zagony, które dostarczały wybornych szparagów, jarzyn różnych i owoców. Sad ten przynosił znaczny dochód.

Była siódma rano; cienistą aleją, którą tworzyły jabłonie, obciążone niedojrzałym jeszcze owocem, szła Cesia. Rumieńce jakie ożywiły jej twarzyczkę, nożyczki ogrodnicze w rękę, powalane ziemią rękawiczki świadczyły, iż mimo wczesnej godziny, wracała już od pracy. Miała na sobie krótką spódniczkę wełnianą, po kostki, grube, wysokie buciki skórzane, wygodną perkalikową bluzkę i kapelusz z szerokim rondem; strój cały świadczył, iż zajmowała się tutaj ogrodem. Praca ta i powietrze wiejskie, ciche otoczenie, wśród jakiego żyła obecnie, musiały jej służyć, bo cera jej twarzy była czerstwa, a spojrzenie ożywione; ani w Warszawie, ani w Wątownie tak nie wyglądała. Gdyby jednak ktoś pilnie się w nią wpatrzył, dojrzałby jakąś poważną zadumę na jej czole, nie licującą z młodym jej wiekiem.

Czasami zbyt wczesny powiew jesiennego wichru owionie pęk kwiatu; rozwinię się on potem pod promieniami słońca, ale barwy jego już nie tak są jasne i wesołe jak powinny być. Cesia robiła wrażenie kwiatu dotkniętego powiewem jesieni.

Mimo zadumy, wiszącej na jej czole, szła jednakże śpiesznie ku dworowi; dążyła na śniadanie; panna Domicela, czekała na nią jeszcze w jadalni z doskonałą kawą, chlebem świeżo upieczonym i masłem.

Wszedłszy do jadalni, dziewczynka powitała najprzód babkę, potem zabrała się do śniadania, gdyż głodną już była.

— Cóż robiła dzisiaj w ogrodzie? — zapytała ją panna Domicela.

— Ranek dzisiejszy był pracowity, będzie z nas zadowolnioną babunia — odparła Cesia. — Wyprawiłam z Józefem 24 kop grubych i wielkich szparagów do miasta i cztery kosze prześlicznych kalafiorów; dwa największe kazałam na obiad dla nas zostawić, aby się pochwalić przed babunią Klinunią moją pracą, gdyż babcia nie odwiedza nigdy sadu. Powiózł też Józef dużo kwiatów, liczę iż sporo pieniędzy przywiezie.

Staruszka uśmiechnęła się.

— Zrobisz niedługo majątek — rzekła.

— Do tego nigdy nie dojdę, lecz coraz więcej mam nadziei, iż oddam wkrótce babci pożyczone mi pieniądze — odpowiedziała Cesia — może z czasem uzbieram tyle, aby kupić sobie kawał ziemi, mieć własny ogród i własny, chociażby najmniejszy domek.

— I być niezależną — dokończyła za nią panna Domicela z uśmiechem — to bardzo pojętne, to jeden z warunków szczęścia ludzkiego.

— O tak—przypowiedziała Cesia—a praca to drugi warunek—dodała poważnie. — Dawniej myślałam, że praca fizyczna jest ową karą, na którą, jak uczy pismo święte, skazani zostali pierwsi nasi rodzice; że tylko umysłowa praca przyjemność przynosi, a fizyczna prócz trudu daje nam zubożenie na wszystko, co wzniosłe i piękne.

— Praca fizyczna daje nam zdrowie fizyczne i moralne—przerwała jej panna Domicela—a jeżeli jest połączona z wykształceniem i odpowiednią nauką, może zapewnić był materyjalny i dać zarówno pokarm dla ducha i umysłu.

— Cóż teraz będziesz robiła? — spytała po chwili panna Domicela.

— Gąsienica opadła kapustę, kazałam zwołać działwę z całej wsi, obiecałam każdemu, co mi w tej nudnej pracy pomoże piąta, nadto dziewczętom po łokciu wstążki, a chłopcom po malowanym rycerzu, o którym przy pracy im coś opowiem.

Sądę, że to zajęcie zapełni wam cały dzień, dobrze będzie, jeśli skończycie oczyszczać kapustę, zanim Józef z miasta powróci — rzekła panna Domicela.

— Zmartwilam się, gdym zobaczyła dzisiaj te wstrętne, maleńkie stworzonka pełzające po kapuście, za którą liczyłam, iż dostanę jesienią co najmniej 200 rubli — rzekła Cesia. — Bo co to za głowy; nie przesadzam, ale już są jak główka rocznego dziecka.

To mówiąc podniosła się, by wrócić do pracy, lecz panna Domicela zatrzymała ją.

— Posiedź jeszcze parę chwil — rzekła — i odpowiedz mi szczerze na pytanie, które oddawna uczynić ci chciałam: Czy ci dobrze w Lisicach?

Cesia pochyliła się do ręki staruszki z pocałunkiem.

— Tylko u matki czułam się tak swobodną, jak tutaj — rzekła — tylko w domu rodziców było mi tak dobrze. Załuję, że tu najpierw nie przyjechałam, nie przesłabym może tego, co na moje serce chłodem powiało.

Panna Domicela objęła ją ramieniem i w czoło pocałowała.

— Bodajby każdy miał tak chłodne serce, jak twoje — rzekła — może ono smutne, lecz pełne ciepła dla drugich.

— Jakżeby mogło być inne dla babuni — odpowiedziała dziewczynka, pieszczotą pieszczotę odpłacając i pospieszyła do pracy; przebiegła park i sad, poczem zwróciła się ku łąkom, poza którymi leżał tak zwany kapustnik.

Dziatwa ze wsi już czekała na panienkę; nudna to była robota do jakiej wziąć się mieli: trzeba było z liści zbierać liszki, każdą z osobna i rzucać je do kosza; lecz nadzieja otrzymania piąta, dodała dzieciom ochoty: zebrały się licznie, tem więcej, że panienska ze dwora pokazała chłopcom malowanego rycerza na pięknym koniu, z szablą przy boku, z wielkimi wąsami i powiedziała, że im opowie coś ciekawego.

— Każde z was niech sobie jeden zagon obierze; zobaczymy, kto najpilniej będzie pracował — rzekła Cesia do skupionej gromadki — ja też nie myślę próżnować.

— Pani będzie bajkę opowiadała — odezwała się jedyna ze śmielszych dziewcząt.

— A gdy opowiem, to także będę oczyszczała kapustę — odparła Cesia.

Dziatwa przysiadła na zagonach, ona zaś zaczęła im w dostępnych słowach opowiadać o Janie Sobieskim i o tem, jak Turków pod Wiedniem pobił.

(d. c. n.)

Miasto kwiatów i woni.

Brzmi to jak bajka, a jednakże nią nie jest. Naprawdę szukać jego będziecie w jakiej książce z haśniami, znajdziecie je poprostu na mapie, na zwykłej mapie, którą znacie tak dobrze z pokoju szkolnego.

W południowej Francji leży nad morzem, na stokach Alp miasto Grasse. Dotyka ono granicy włoskiej i sąsiaduje z Cannes, dokąd można zajechać w czterdzieści minut koleją żelazną. Miasto Grasse było oddawna siedzibą biskupów. Im to ono zawdzięcza wzniesienie ratusza w XII wieku i katedry. Te dwa budynki uważane są przez znawców za cenne zabytki architektury gotyckiej.

Obecnie główne znaczenie Grasse polega na piętnastu tysiącach pracowitych mieszkańców, sześćdziesięciu fabrykach i niezliczonych polach kwiatowych. Zajmują one całą równinę wokół Grasse, wszystkie pagórki i wzgórza aż hen, ku ciemnej linii lasów oliwnych. Mieszkańcy, fabryki i kwiaty — wszystko to jest z sobą w ścisłym związku, bo w Grasse wszystko żyje dla kwiatów i z kwiatów. Sieją tam te wonne rośliny, jak u nas żyto i pszenicę, potem następuje czas zbioru, w końcu fabryki zamieniają je na perfumy. Śmiało można powiedzieć, że Grasse to jeden wielki kocieł, który warzy i gotuje perfumy dla całej Europy, a kto wie czy nie dla całego świata.

Słyszeliście zapewne, że na północy dla braku kwiatów wyrabiają chemiczne zapachy z węgla, smoły i innych podobnych rzeczy, ale w Grasse gardzą takimi sposobami. Mieszkańcy zbierają kwiaty, które pod niebem południowym tak pięknie i bogato się rozwijają i wydobywają z nich ich woń, która jest jakby duszą kwiatów. Jak stopniowo ta dusza uchodzi z kwiatów, aby wejść po różnych zmianach i kolejach do kryształowego flakonu i stanąć na gotowalności różnych pań i panienek — oto ta cudowna bajka, którą opowiem.

Miałabym ochotę szepnąć wam cichutko, że o zachodzie słońca, kiedy ostatnie czerwone blaski padają na łąki i pola, wróżki i elfy spływają z obłoków i zbierają alabastrowymi rączkami pyłek kwiatów do fartuszków, utkanych ze skrzydeł motyli. Ale trudno was łudzić, bo wszyscy o tem wiedzą, że nie ma wróżek na świecie. Owe wróżki, to dziewczęta i kobiety z miast i wsi okolicznych. Przychozą także kobiety z Piemontu.

Praca postępuje szybko i trwa przed południem tylko do 11-ej, a po południu od 5-tej do 7-ej. W innych godzinach nie wolno zrywać kwiatów, gdyż tracą łatwo zapach. Wszystkie żniwiarki noszą szerokie, słomiane kapelusze; jednakże na pierwszy rzut oka odróżnić można ładne, zręczne, silnie zbudowane kobiety miejscowe od pracownic z Piemontu. Te emigrantki z Włoch przychozą do Grasse tysiącami na zbiór oliwek w grudniu. Po skończeniu tego zbioru, rozpoczyna się w lutym żniwo fiołków i trwa do końca marca. Następuje miesiąc spoczynku. Niektóre z włoskich kobiet wracają do domu, inne zostają w Grasse, aby pomagać od początku maja do połowy czerwca przy zbiorze róż i kwiatu pomarańczowego.

W lipcu nadchodzi żniwa jaśminu i tuberozy, w sierpniu rezedy, a we wrześniu kassyi. Otóż macie zupełny kalendarz kwiatowy. Ale nie myślcie, że kwiaty stanowią tutaj tylko uprzyjemnienie i ozdobę życia—nie, one oznaczają tam pracę, trud, obowiązek i troskę o chleb codzienny.

Pomyślcie, ile to trzeba zabiegów i mozołów. Listek róży jest lekki, jak piórko, a jednak należy zebrać 1,200,000 kilogramów listków różanych, których rocznie potrzebują fabryki w Grasse. Jeszcze większa jest produkcya fiołków i kwiatu pomarańczowego, za to milion kg. jaśminu wystarcza rocznie.

Jaśmin nie wygląda tam tak, jak u nas. Ma nie wysoką łodygę, a liście pną się po prętach, ale tylko poziomo wszcz. Kwiat jest tak obfity, że przykrywa liście zupełnie, większy jest także niż w naszym jaśminie i wydaje zapach znacznie mocniejszy. Każda łodyga dostarcza przecięciowo dwa kg. kwiatu — ogólne zapotrzebowanie wynosi milion kg., z tego wynika, że przez lato kwitnie w Grasse i okolicy pięćset tysięcy krzewów jaśminowych.

Równocześnie otwierają tuberozy swe białe kielichy, można więc sobie wyobrazić, jakie odorujące wonie zalewają ze wszech stron powietrze. Najwięcej trudu i zacho- du wymagają jaśmin, tuberoza, rezedy i kilka innych roślin o silnym zapachu.

Wszystkie kwiaty bez wyjątku niosą do fabryki, składają na ogromnych stołach, odrywają listki, aż się z nich utworzy potężny pagórek. Następnie odbywa się tak zwane *triage* to jest przebieranie i czyszczenie listków.

Są dwa sposoby wydobycia zapachu z kwiatów, jeden *à chaud* na gorąco, drugi *à froid* na zimno. Róże, fiołki, irysy nie są wymagające i zadawalniają się pierwszym sposobem, to jest smarzą się w kotłach razem z tłuszczem wołowym lub wieprzowym. Nie potrzeba na to ani czasu

wiele, ani rąk ludzkich, bo pokład kwiatów zmienia się tylko trzy albo cztery razy. Za to jaśmin i pokrewne mu rośliny muszą być przyrządzone na zimno. Bierze się tłuszcz wołowy czy wieprzowy bez żadnych przymieszek, rozciera się na szklanych szybach *chassis*, które ujęte są w ramy drewniane. Szyby ustawione są w miejscu chłodnym, przewiewnym; zanim masa zupełnie zastygnie, posypuje ją się cienką warstwą kwiatów, które do niej przylegają. Tłuszcz wypija woń z listków, lecz zupełne nasycenie trwa dość długo. Co 24 godzin trzeba zdejmować listki ostrożnie, zamieszać masę i przykryć świeżą warstwą kwiatów. Po trzech miesiącach wreszcie wykrawać można ową tłustą masę i kłaść w beczki, jako pomadę. Tylko nie myślcie, że to jest ta sama pomada, którą niektórzy do włosów używają. Tutaj mowa jest o owym tłuszczu, przesiąkniętym wonią, z którego potem za pomocą alkoholu wytwarzają perfumy w postaci płynu.

Tem ostatniem przetwarzaniem zajmuje się jedynie jedna trzecia fabryk Grasse'u. Większość produkuje tylko pomadę, która się rozchodzi po całej Europie, a nawet za Ocean. W Paryżu, Nowym Yorku, Brukseli, Berlinie, Londynie, Petersburgu, Warszawie dostaje się ta pomada w ręce destylatorów, którzy z niej robią esencje i dalej ją posyłają do perfumeryi. Tam dopiero mieszają je, przerabiają, rozczynniają i zapełniają niemi eleganckie flakoniki z pięknymi etykietami i wystawiają w sklepach, aby sprzedać za drogie pieniądze. Stoją sobie tam spokojnie tak długo, póki nie przyjdzie jaka elegantka, albo jaki dobry braciszek lub uprzejmy wujaszek i nie zabierze flakoniku, aby go ofiarować siostrzenicy, lub siostrze „na imieniny.”

Czy jesteście zadowoleni z mojej bajki? Jestem trochę niespokojna, więc na zakończenie dam wam jedną radę. Ile razy skrapiacie waszą chusteczkę wonną perfumą, pamiętajcie, że dla waszej przyjemności kwitły miliony kwiatów, że w około tej chusteczki unoszą się wonie jaśminów, tuberoz, irysów, róż, fiołków i że te perfumy kosztowały wiele, wiele pracy ludzkiej.

Niech wam również w jakiś szary listopadowy poranek ten zapach przypomni, że kwiaty te kwitną koło miasta, do którego zarówno dobrze, jak do Neapolu można zastosować ów wiersz Goethego, spolszczony tak pięknie przez Mickiewicza.

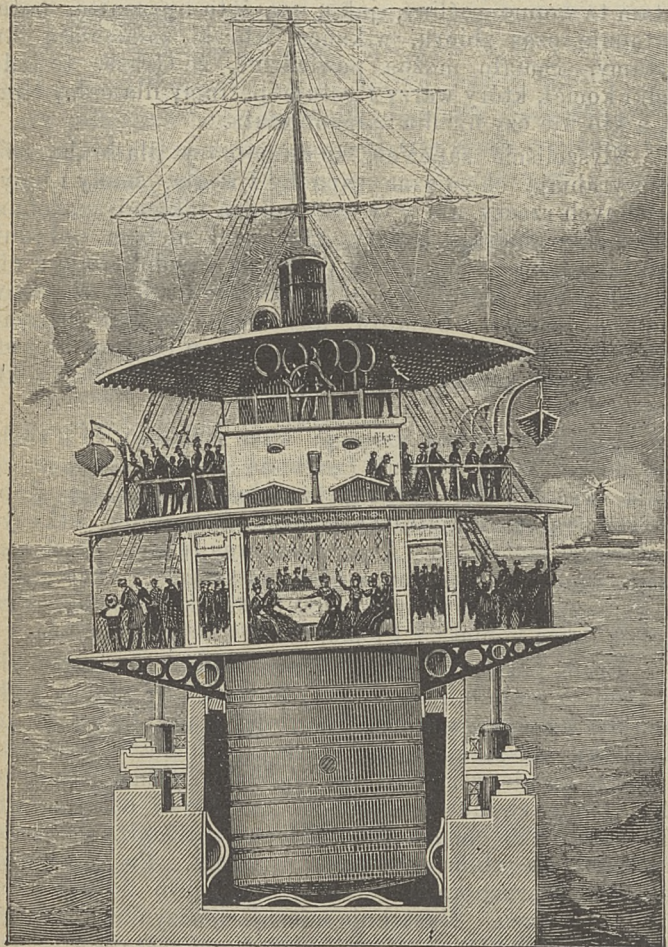
Znasz-li ten kraj,
Gdzie cytryna dojrzeła,
Pomarańcz blask
Majowe złoci drzewa,
Gdzie wieńcem bluszcz
Ruiny dawne stroi,
Gdzie buja laur
I cyprys cicho stoi?...

Senta.

Pogrzeb w katakumbach.

Któż nie słytał o słynnych katakumbach rzymskich, o tych ogromnych podziemiach, kutyh w kamieniu, gdzie pierwsi chrześcijanie w czasie prześladowań cesarzów rzymskich, zbierali się pokryjomu na nabożeństwa i składali na wieczny spoczynek zwłoki swych zmarłych braci. Do dziś dnia jeszcze katakumby owe, zburzone w części przez Longobardów w VIII wieku, nie są całkowicie zbadane i służą nietylko za cel pielgrzymki wiernym, jako miejsce spoczynku wielu świętych i błogosławionych, lecz i za nader szacowne miejsce do poszukiwań archeologicznych dla uczonych.

Najrozleglejsze katakumby (św. Schastyana, św. Wa-



Mareorama (str. 352).

Jan Niewdźyd

[Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ XV.

Gdy tak rzeczpospolita cierpi wśród rozterek i konfederacy, Turcy i Tatarzy którzy po pokoju Baczackim, rozbili

wryńca, św. Agnieszki i inne) istnieją w bardzo niewielkiej odległości od Rzymu. Są to wązkie i kręte kurytarze podziemne, idące w niektórych miejscach po kilku piętrach. Po bokach znajdują się czworograniaste grotty, wykute w kamieniu i przykryte kamienną płytą z napisami. Napisy zawierają najczęściej imię zmarłego, monogram Chrystusa Pana, znak krzyża i palmę męczeńską; czasami ryto na płytach pełne powagi i prostoty pobożne zdania.

Obszerniejsze przestrzenie między krzyżującymi się przejściami przeznaczone były na miejsca zebrań i stanowią kaplice lub kościoły podziemne. Mieścił się tam zwykle grób jakiego świętego męczennika, ozdobiony sarkofagiem, który służył za ołtarz; na nim odprawiał biskup lub kapłan Mszę świętą.



Pogrzeb w katakumbach.

Rycina nasza przedstawia pogrzeb w katakumbach rzymskich. Ciała męczenników bracia chrześcijanie często z narażeniem własnego życia zabierali potajemnie z krwią zalanych cyrków i ze czcią przenosili do katakumb. Tam czekali już na zwłoki kapłani, chór chłopców i dziewic w bieli z zapalonemi pochodniami i gałązkami palm święconych.

Przy ciałach, leżących na kobiercu, kapłan odmawiał ustanowione przez kościół modlitwy, po błogosławieństwie i pokropieniu wodą święconą zamurowano je w grobach.

Jeżeli pogrzeb sprawia zawsze podniosłe i silne wrażenie, to łatwo sobie wyobrazić, jak poruszały serca obecnych te pogrzeby męczenników, którzy zginęli śmiercią okrutną za wiarę świętą, odbywane w mroku podziemi, w ciszy i tajemnicy, zwłaszcza, że każdy wiedział, iż niedługo przyjdzie kolej na niego ponieść taką samą śmierć męczeńską.

się na małe oddziałki, poczęli płądrować w opustoszonej już przez wojnę okolicy. Mocą pokoju odstąpili wprawdzie od Lwowa, lecz płądrowali w okolicy Przemyśla, Żydaczewa, Halicza, a z drugiej strony około Tarnopola, Trembowli, Czerwonogrodu, gdzie właśnie według rozkazów Mahometa IV, wszystkie oddziałki zejść się miały z wiosną r. 1673.

Jeden z takich oddziałków, trzeciego dnia po wyjściu ze Lwowa, zatrzymał się około Komarna na lewym brzegu Dniestru. Wkrótce po rozłożeniu obozu, żołnierz stawił się przed kapitanem i rzekł:

— Efendi, złowiliśmy ptaszka, i wskazał na rozrośłego, barczystego młodzieńca, stojącego ze związanymi w tył rękami.

Jego wielkość efendi spojrział okiem znawcy na przybyłego i krzyknął:

— Na twarz przedemną, psie niewierny!

Lecz na bladej twarzy przybyłego nie drgnął ani jeden mięsień, jak gdyby zgoła nie słyszał.

— Daj mu w kark! — rozkazał władca.

Żołnierz spełnił rozkaz z zaciętością i siłą, chcąc nią okazać swą wyższość nad bezbronnym jeńcem.

Ten pochylił się pod uderzeniem tureckiej pięści, nie wydał jednak jęku, tylko czoło zmarszczył, a z oczu jego posypały się iskry nienawiści i wzgardy.

— Niemowa? — spytał kapitan, przed którym postawiono nieszczęśliwego jeńca.

— Ty wiesz efendi, nie mówi, nie słyszy.

— Udaje... — rzucił kapitan, nadając słowom swoim pytanie i powątpiewanie.

Żołnierz zgiął się w pół w ukłonie, a potem wyprostowawszy się, rozstawił ręce na znak, że nie wie.

Efendi jednak nie zadowolnił się tą odpowiedzią, lecz rzucił znów pytanie:

— Co?

— Ty wiesz efendi — próbowałem wszelkich środków, nie odpowiada, nie słyszy! — odrzekł, przy powtórnym ukłonie żołnierz.

Że żołnierz mówił prawdę o próbowaniu środków, świadczyła podarta odzież jeńca, oraz krew ciekąca z nadartych uszu.

— Hm! — mruknął efendi.

— Zobaczmy — dodał do siebie i rozkazał:

— Zaprowadzić do lochu, strzedz dobrze, taki co nie mówi, gorszy od gadającego.

Żołnierz skłonił się i rzekł:

— Ty wiesz, efendi, lochy pełne, niema gdzie tych jeńców pomieścić.

— Hm! — mruknął znów kapitan.

— Ty wiesz, efendi, możeby go wziąć do przenoszenia kamieni.

— Mój jest, założyć łańcuchy na nogi i ręce, oddać pod straż! — rzekł nagle, przyjrząwszy się pilnie jeńcowi.

I zaraz dodał:

— Dać mu jeść, może przemówi!

W duszy zaś pomyślał:

— Inni wzięli po kilku jeńców, zaprowadzą ich do domu, będą mieli robotnika; ten pierwszy mi się dostał, nie mówi, tem lepiej, chłop rosły, choć blady, starczy za dwóch, dobrze, że pole obrobi.

— Precz z nim! — krzyknął na stojącego żołnierza.

— Ty wszystko wiesz, efendi, alem ja przyprowadził niewiernego, jeżeli go zostawisz sobie, należy mi się za niego.

— Głupiś, o takim jak ty, wielki prorok nie widzi nawet tyle, co o ziarnku piasku. Zkądżebyś mógł mieć prawo do jeńca, kiedy sam jesteś niczem! — ofuknął kapitan.

Tłomaczył jednak oględnie, powoli, nicość żołnierzowi, wiedział bowiem, że i on nie miał prawa zatrzymywać jeńca dla siebie, jeżeli go nie zabrał osobiście. Nie miał też prawa zabierać go żołnierz, lecz przyprowadzony przez takowego, należał do ogólnej liczby jeńców, stanowiących zdobycz wojenną, sławę i majątek wszechwładnego sułtana, Mahometa IV.

Żołnierz ukłonił się do stóp kapitała, nie rzekł ni słowa, lecz na chudej jego twarzy odmalowała się złość i zawiść, rzekł jednak:

— Ty wiesz, efendi, ja jestem niczem, lecz Allah policzył i ziarnka piasku, a jeniec jest milionkroć większy od ziarnka piasku — dodał sentencyonalnie.

Kapitan śnać uznał ów filozoficzny wywód żołnierza, bo rzekł doń z dobrotliwym uśmiechem:

— Chytry jesteś i przebiegły, masz za to, i rzucił mu pęcherz napełniony resztką tytoniu.

Żołnierz zajrzał do środka, powąchał dar i rzekł:

— Efendi, ty co wiesz wszystko, wiesz i to, że bez fajki, hubki i krzesiwka, tytuń nie ma znaczenia.

— Idzie ci o fajkę! to dużo, ale znaj moją hojność i łaskę.

To mówiąc, kapitan sięgnął do kieszeni obszernych swych szarawarów i rzucił czerniałą i dobrze użytą stambulkę.

— Żołnierz podjął ją, obejrzał, dmuchnął w nią i znów się ozwał:

— Zniszczona, sok, a może i tytuń z niej wyleci, jak się ściągnie, jeszcze potrzyma. Ale... bez cybucha i cóż mi po niej!

— Nienasycony jesteś! — ozwał się kapitan, marszcząc brwi krzaczaste.

— Biedny jestem, nic na wojnie nie zarobiłem, ty wiesz sam, efendi!

I spojrzął z podejba na swego zwierzchnika, z tym poufałym a drwiącym uśmiechem, który mówił:

— Wiem, że oprócz jeńca, którego chcesz zabrać, masz pełne kieszenie złota, któreś otrzymał od przedzierających się z miasta niewiernych.

— Na brodzie Mahometa! doprowadzasz mnie do złości! — zawołał, podnosząc nieco głos kapitan.

— Nie oglądaj nigdy nietylko oblicza, ale nawet skraju płaszcza Mahometa! — zaklął wreszcie zwierzchnik, splunął i odwrócił się plecami do mówiącego.

Żołnierz widząc, że nic więcej nie wytarguje, założył dyby na nogi i ręce jeńca, pełną go i zostawił przede drzwiami namiotu kapitała.

Jeniec, czy był wycieńczony podróżą i obchodzeniem się żołnierza, czy zubożniętym na wszystko, poddał się biernej tej operacji i postępując z trudnością, legł tuż przy samej wejściu, gdzie właśnie dwa wielkie psy, ulubieńce kapitała, chęptowały swą ranną strawę.

Jeniec spojrzął pożądliwie na jedzenie, rozejrzał się dookoła, a widząc, że żołnierz się oddalił i w pobliżu niema nikogo, przysunął się do śniadających psów i cmoknął na nie kilka razy. Jeden z nich zbliżył się, obwąchał go dookoła, a poczuwszy krew ciekącą z uszu jeńca, porzucił chudą polewkę, wsparł się na jego plecach, wyciągnął język i począł wylizywać świeżą ranę,

Drugi poszedł za przykładem towarzysza. Nie udało mu się jednak zdobyć takiego przysmaku. Lecz poczuł zakrzepłą krew na skaleczonej nodze leżącego i zaczął zabawiać się odwilżaniem takowej.

Jeniec z pewnem zadowoleniem poddał poranione członki pod psie języki, sam zaś wyciągnawszy skute dłonie zdołał przechylić drewnianą miszkę z polewką dla psów przeznaczoną, i pił ją tak chciwie, jak gdyby była najwyborniejszą marmazją. Potem odwrócił się i poddał drugie ucho swemu psiemu dobrodziejowi, które on tak samo jak pierwsze oczyścił z ciekącej krwi i rozmaitych naleciałości. Drugi pies tymczasem skończywszy wylizywanie nogi, szukał więcej ran na ciele jeńca. Nie potrzebował się trudzić, bo przez podartą odzież na całym ciele, widniały rozdarcia świeże lub dawniejsze, ociekłe krwią obficie.

Tymczasem oddalający się żołnierz myślał sobie:

— Żeby ten jeniec nie był niemy, sprawiłbym przy jego pomocy kapitanowi taki bankiet, jakiego i sam prorok mu nie sprawi! Zdaje mu się, że jest brat za brat z Mahometem, a takim wydrwigroszem, łapownikiem, zdziercą, wielki prorok mniej się pewnie zajmuje, niż moją nędzą. Ale ja ci i tak nie daruję, nalany pęcherzu! Gada czy nie gada ten pies, użyję go na ciebie. Nie dałeś mi z niego zysku i ty go mieć nie będziesz, nie będziesz, efendi!

I przy ostatnich wyrazach wykrzywił złośliwie swą chudą twarz i zacisnął w dłoni krzywą szablę, która mu niedbale wisiała przy boku. Drugą ręką wyjął z kieszeni szarawarów otrzymany od kapitała podarunek, obejrzał go pilnie, zważył na dłoni i rzekł:

— Za takiego tęgiego chłopca, nadgryzioną fajką i tytoniu na dwa nabicia!... bodaj ciebie wielki sułtan za życia, a Mahomet po śmierci tak hojnie obdarzał.

— I to jeszcze taki lichy tytuń! — dodał, pociągając z darowanej mu fajki. — No, no!

I rozmyślając nad dokuczeniem kapitanowi, doszedł do obozu i zadowolony śnać ze swych myśli, zasiadł z dobrą miną przy śpiewających ochryplym głosem żołnierzach.

Kapitan zaś ukończywszy ranne swe zajęcia, składa-
jące się z dumania nad wypuszczanemi kłębamii dymu i słod-
czyą kukurydzowego placka, wyszedł przed namiot.

Ujrawszy leżącego jeńca, rozjaśnił swą wielką twarz
bladą i nalaną, a biegające małe czarne oczki spoczęły na
leżącym.

— Te psy niewierne, chłop w chłopą rosłe, jeden bo-
daj za dwóch naszych stanie.

I nagle jakby mu myśl jakaś przyszła, wyjął z zanu-
drza świstawkę i dmuchnął w nią, tuż nad leżącym, przera-
żliwie. Psy zerwały się, skowycząc, siadłszy na tylnych
łapach, i poczęły wyć przerażliwie. Wyciu ich poczęły wtó-
rować psy przy innych namiotach, a kapitan ucieszony tą
potworną muzyką, jakby zapomniał o jeńcu, od czasu do
czasu dął przerażliwie w piszczałkę.

— Naprawdę głuchy, kiedy nie drgnął nawet na tak
piekielną muzykę — rzekł kapitan, spojrzawszy na leżące-
go, który ani jednym mrugnięciem oka nie dał poznać, że
słyszy piekielny świst piszczałki lub przerażliwe wycie
swoich dwóch psich przyjaciół.

— Wstawaj! — krzyknął kapitan i kopnął nogą leżą-
cego.

Jeniec podkurczył nogi o ile mu na to pozwalały kaj-
dany, nie kwapił się jednak do wstania.

Za to psy poczęły warczyć, jakby chciały bronić swo-
jej własności i wyszczerzywszy zęby patrzyły złowrogo na
kapitana. Lecz ten warknięcie i wyszczerzone zęby swych
ulubieńców wytłómaczył na swoją korzyść. I pogłaskawszy
ulubieńców, rzekł głosem zadowolonym.

— Dobre psy, pilnują własności swego pana! — Nie
dać, nikomu nie dać! to mój! — dodał wskazując na leżą-
cego.

I wyraz „mój” powiedział z takim zadowoleniem, jak
gdyby sam chciał się nim nacieszyć. Spojrzał też na jeńca
i zawołał po polsku:

— Wstawaj, jeśd dostaniesz!

Lecz i to nie poskutkowało, jeniec patrzył obojętnym
wzrokiem przed siebie, zaciskając tylko coraz silniej skute
razem dłonie.

— Wstawaj, wolny jesteś! — krzyknął znów kapitan
w tymże samym języku, jakby się chciał popisać kilkoma
wyzuczonymi wyrazami.

Młodzieniec nie ruszył się na to magiczne dla każdego
jeńca słowo, pierś tylko podniosła się przytłumionem west-
chnieniem, a po bladej i wycieńczonej twarzy, przemknął
rumieniec.

(d. c. n.)

ROZBÓJNIK MORSKI.

Opracowała P. Gr.

(Dalszy ciąg).

III. Bramaputra podczas burzy.

Patrząc na „Bramaputrę,” gdy rozwijał żagle w por-
cie Nowego Orleanu i w całej okazałości wypływał na mo-
rze, trudno było przewidzieć smutny los, jakiemu miał
uleść w niedalekiej przyszłości. Po trzech dniach gwałto-
wnego wiatru, który wpędził okręt do zatoki Biskajskiej,
wichura zmniejszyła się około północy. Korzystając z tego,
kapitan Ingram przywołał starszego sternika i rzekł do
niego:

— Oswaldzie, wiatr opada; z nadejściem poranku nie-
bezpieczeństwo prawdopodobnie minie w zupełności. Chciał-
bym się na parę godzin położyć; obudzisz mnie, gdyby za-
szła jaka zmiana.

Oswald Baret wysoki, silny mężczyzna, spojrzął doko-
ła badawczym wzrokiem i rzekł po chwili:

— Nie widzę stanowczej zapowiedzi pogody; cisza w po-
wietrzu jest tylko chwilowa; niebawem burza na nowo nad-
ciągnie.

— Już trwa ona od trzech dni — zauważył Ingram —
a burze letnie nie zwykły trwać dłużej.

— Radbym, żeby się przepowiednia pańska sprawdziła,
panie kapitanie — mówił sternik — ale niestety, tak jestem
pewny, że nowa bieda nadciągnie, jak tego, że dwa a dwa
jest cztery.

— Niech i tak będzie — zawołał trochę podrażniony
kapitan — czuwaj tylko Baretcie i w razie potrzeby przyślij
po mnie majtką.

Ingram zszedł do kajuty. Oswald spojrzął na baro-
metr, zamienił słów kilka z człowiekiem, stojącym przy
sterze, próbował czy pompy działają prawidłowo, wreszcie
wziął do ust świeżą szczyptę tytoniu do przeżuwania i na
nowo pilnie w niebo wpatrywać się zaczął. Niepokoiła go
ciemna chmura, zwolna od zachodu przeciągająca pó hory-
zontcie. Po chwili błyskawice, jako zapowiedź bliskiej bu-
rzy, rozgorzały na niebie. Wiatr ustał i „Bramaputra”
mogła podnieść kotwicę, zaraz jednak zerwała się gwałto-
wna nawałnica, a huk grzmotów rozlegał się dokoła.

— Sądziłeś kapitanie, że najgorsze już minęło — mó-
wił półgłosem do siebie Oswald — ja przypuszczam, że to
najgorsze dopiero dla nas nadchodzi. Zwijąć ostatnie ża-
gle! — rozkazał jednemu z majtków, a zwijąć ostrożnie,
iżby uderzeniem drągów o pokład nie obudzić i nie prze-
straszyć śpiącej ludy w kajucie. Jeśli kiedykolwiek zosta-
nę właścicielem choćby najmniejszego statku, nie będę na
niego przyjmował kobiet, choćby mi nie wiem ile dolarów
za to płaciły.

Burza tymczasem zbliżała się szybko; pioruny i błys-
kawice złowrogim blaskiem rozświecały horyzont, deszcz
spływał potokami, wiatr dął gwałtownie, wydymając prze-
moczzone żagle okrętu. Zrobiło się zupełnie ciemno.

— Nie poruszać rudła u steru — wołał Oswald —
niech jeden z was idzie prędko obudzić kapitana; nie są to
już żarty!

Przy panującej ciemności i zalewającym im oczy desz-
czu, majtkowie nie mogli wykonywać dokładnie otrzy-
mywanych od Oswalda rozkazów. Kapitan Ingram nie zdążył
zaś jeszcze wyjść na pokład, gdy pod gwałtownymi uderze-
niami wiatru i fali, nieszczęśliwy okręt przewrócił się na bok.
Sternik wpadł pod koło steru, a Oswald wraz z całą załogą
stoczyli się na bok statku.

Baret jednak pierwszy zdołał wydobyć się z pośrodku
towarzyszy, pochwycił za ster, usiłując nadać mu właściwy
kierunek. Ingram ze swymi majtkami znalazł się też nie-
bawem obok niego, ale wycie wiatru, spienione bałwany za-
lewające okręt, deszcz przesłaniający im oczy, a w dodatku
strasзлиwa ciemność wysiłki ich daremnymi czyniły.

Oswald chwycił się rozpaczliwego środka; oddał ster
w ręce dwóch majtków, sam zaś ujął siekiere, rozkazując to
samo zrobić jednemu ze starszych szyprów. Wobec szumu
burzy przygłuszającej mowę ludzką, porozumienie było tru-
dne, ale w budce sterniczej paliła się jeszcze lampa; przy
bladem jej świetle Ingram mógł dojrzeć znaki dawane mu
przez sterników i odpowiadać na nie gestami. Okręt mu-
siał koniecznie być obrócony w kierunku wiatru a na nie-
szczęście siła burzy przewyższała siłę steru. Baret z to-
warzyszem swoimi uderzeniami siekiery podcięli maszt, któ-
rego żagle stawały opór usiłowaniom obrócenia statku,
i maszt ów całym ciężarem zwałił się na pokład.

Następnie Oswald podążył do kajuty kapitana, tam
przez chwilę przypatrywał się ruchom igły magnesowej
w busoli. Zauważył, że mimo wszelkich czynionych wysił-
ków, okręt coraz więcej zagłębia się w morze; porozumia-
wszy się tedy znakami z kapitanem i otrzymawszy w ten sam
sposób jego przyzwolenie, dzielni żeglarze przyskoczyli do
głównego masztu. Zadanie to było nielada; pęd wiatru

MAREORAMA.

o mało nie wrzucił w otchłań wodną towarzyszącego Bare-towi majtka; ale nie zrażeni tem marynarze, rąbali z całych sił drzewo i niebawem ogromny kloc masztowy znikł w spienionych falach.

Wysiłki ich nagrodzone zostały; okręt na boku dotąd leżący, uniósł się w górę i mógł być zwrócony w kierunku wiatru. Załoga zajęła się wyrzucaniem szczątków zrąbanych masztów, a sądząc, że niebezpieczeństwo minęło, śmiechem i żartami objawiała radość swoją.

— Kawałek żagla wisi uczepiony u przedniej części statku — mówił jeden z majtków — przy takim wietrze jednak obejdziemy się bez płótna żaglowego.

— Strata masztów ujęła nam roboty — dowodził drugi — nie potrzebujemy drapać się po rejach!

— E, robota nas nie minie — odparł towarzysz. — Gdy staniemy w porcie, trzeba będzie koło nowych masztów do-brze się napocić.

— Hoła! — zawołał Oswald, który słyszał ich rozmowę — myślcie lepiej o tem, co teraz jeszcze jest do zrobienia; niech jeden z was zejdzie na dół i zobaczy, czy nie nabrało się wody.

Starszy majtek wypełnił rozkaz, a po chwili ukazał się na pokładzie z twarzą przerażoną, meldując:

— Na Boga! siedm stóp wody na spodzie okrętu!

Uderzenie piorunu nie mogłoby większego wywołać wrażenia. Oswald pobiegł przekonać się naocznie o nowem niebezpieczeństwie.

— Bierzmy się żwawo do pomp, chłopcy — mówił sternik, usiłując ukryć obawy swoje — prawdopodobnie woda napłynęła przez wierzech, kiedy okręt był pochylony.

Załoga skwapliwie chwyciła się tej nadziei i zabrała spieszenie do wypompowania wody, Oswald zaś poszedł naradzić się z kapitanem nad położeniem rzeczy.

— Czy sądzisz, Barecie, że dno okrętu uszkodzone? — pytał Ingram — tyle wody nie mogło napłynąć przez wierzech.

— Obawiam się, że został przedziurawiony uderzeniem belek masztowych — mówił Oswald — odczuliśmy silne wstrząśnienie po zrzućeniu do wody głównego masztu.

— Boże daj, aby nie sprawdziła się twoja przepowiednia — dodał kapitan.

Gdy weszli na pokład, starszy majtek oznajmił im, że woda przybrała stóp siedm cali trzy! Ludzie w wodzie po pas pracowali przy pompach bez ustanku, zmieniając się co kilka minut. Ingram i Oswald w ponurem milczeniu spoglądali na zegarki; jeśli po pół godzinie woda nie zostanie wypompowaną, wszelka nadzieja ratunku dla okrętu stracona!

(d. c. n.)

Tadzio przeglądał „Wieczory” a Joasia kończyła pilnie sukienkę na konkurs. Nagle brat złożył prędko pismo, przycisnął je ręką i zawołał:

— Joasiu! chcesz, żeby jedno z twych marzeń się spełniło?

— Które? — spytała siostra.

— To, o którym wczoraj mi mówiłaś, że takbyś chciała odbyć raz podróż morską, ale bez narażenia się na niebezpieczeństwo burzy, rozbicia, kołysania statku i choroby morskiej. Pamiętasz, jakem się śmiał z ciebie?

— Ty zawsze się ze mnie śmiejesz; mówiłaś, że to marzenie nierozsądne, że zupełnie to samo, jak gdyby ktoś chciał się nauczyć pływać, nie wchodząc do wody.

— Otóż wiedz, że cofam teraz to porównanie. Dziwnym trafem pragnienie twoje odbycia podróży morskiej bez morza, może się urzeczywistnić, pod warunkiem...

— Pod warunkiem?

— Że pojedziesz w roku przyszłym na wystawę do Paryża, ale jazdy kolejną nie obawiasz się przecie, dzięki Bogu.

— E, ty znowu ze mnie żartujesz.

— Nie! tym razem nie! Patrz tylko, a potem posłuchaj.

I pokazał zdziwionej dziewczynce rysunek na str. 348 „Wieczorów” i przeczytał co następuje:

Na przyszłorocznej wystawie paryskiej będzie można oglądać nowość, nieznaną dotąd, która otrzymała miano: „mareoramy” czyli panoramy morskiej. Jest to imitacja wielkiego okrętu pasażerskiego, urządzonego zupełnie jak okręt prawdziwy. Okręt ten osadzony na wielkim wale żelaznym pomiędzy resorami, porusza się tak samo, jak okręt kołyszący się na falach morskich. Dokoła okrętu w pewnej odległości znajdują się dwa olbrzymie obrazy panoramiczne, wiorstowej przeszło długości, przedstawiające widoki portu marsylskiego, Algieru, Malty, wreszcie Konstantynopola. Płótna te rozwijają się wciąż i przesuwają, co przy kołysaniu się statku sprawia złudzenie prawdziwej przejażdżki morskiej. Przestrzeń między płótnem i statkiem będzie wypełniona wodą, odpowiednio zabarwioną i poruszaną z pod spodu, aby falowała. Słowem, wszystko tam będzie, jak na prawdziwym okręcie, płynącym po morzu Śródziemnem. Na żądanie podróżnych — to jest widzów — kapitan będzie mógł nawet urządzić burzę, ale ty jej nie będziesz żądała, nieprawdaż Joasiu?



PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 50 (3 korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Dzień zaduszny (z ryc.) — Wzajemna pomyłka, powieść przez Teresę Jadwigę — Miasto kwiatów i woni. — Pogrzeb w kaktambach (z ryc.) — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów przez Zuzannę Morawską (c. d.) — Rozbójnik morski, opracowała P. Gr. — Mareorama (z ryc.) — Dodatek: Bajka o Karolku i smoku (z ryc.) — Odważny chłopczyk, wiersz przez E. L. — Para wodna przez Zofię Kwiatkowską. — Ciotka Iza. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Nowe książki, — Dodatek książkowy: Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrené.

WIECZORY RODZINNE

Bajka o Karolku i Smoku.

(Dalszy ciąg)

Smok ani drgnął, król spieszenie księgę zamknął i poszedł się do łóżka położyć.

Ale nazajutrz miał znowu ochotę zajrzeć do księgi, więc wziął ją z sobą do ogrodu, a gdy otworzył klamrę, turkusami i rubinami sadzoną, księga rozwarła się sama na karcie ze smokiem i padł na nią promień słońca.

I oto nagle ogromny, czerwony smok rozpostarł skrzydła szkarłatne i poleciał hen na pola i lasy, a Karolek siedział przed pustą kartą, na której została tylko zielona palma, żółta pustynia i czerwony ślad od skrzydeł smoka.

Karolek uczył nagle swoją winę. Oto był królem niecałą dobę, a już zdążył spłatać okropnego figla: wypuścił na swoje państwo Czerwonego Smoka, naraził życie swoich poddanych. A oni sprawili mu taką ładną koronę.

Na myśl o tem Karolek rozplakał się. Natychmiast przybiegła niania, za nią kanclerz, za nim pierwszy minister. Wszyscy pytali, co mu jest, ale skoro tylko ujrzeli księgę, domyślili się odrazu, o co chodzi i kanclerz rzekł: — Niegrzeczny król, szkaradny! Niech go niania położy do łóżka za karę.

— Możebyśmy w pierw stwierdzili jego winę — nadmienił minister.

Karolek wybuchnął płaczem!

— To był czerwony smok — przyznał się — poleciał w świat. Bardzo mi przykro, bardzo. Proszę mi przebaczyć!

Ale kanclerz i pierwszy minister nie mieli czasu się gniewać ani przebaczać. Wybiegli, żeby wezwać policję i szukać ratunku. Każdy robił co mógł. Stawiali strażę, zaczajali się na smoka, ale on siedział daleko w górach i nie było na niego rady.

I niania robiła swoje, zrobiła może nawet więcej od innych, bo schwyciła króla i położyła go do łóżka, nie dała mu nawet herbaty, a gdy się ściemniło nie przyniosła mu świecy, przy której mógłby sobie poczytać.

— Jesteś niedobrym królem — rzekła — nikt cię nie będzie kochał.

Następnego dnia smok siedział sobie spokojnie, choć ludzie, obdarzeni bujniejszą wyobraźnią, widzieli jego czerwone skrzydła, powiewające przez drzewa.

Ale nazajutrz była niedziela. Po południu Smok spadł na ziemię w całej swojej ohydnej czerwoności, chwycił i pożerał cyklistów, spacerowiczów, takich, którzy się bawili w lawn-tenisa i takich, którzy poprostu grali w piłkę. A ludzie mówili:

— Co też król narobił nam złego, że wypuścił tego smoka!

Inni znów kiwali głowami i przepowiadali rychły zanik wszelkich sportów. Istotnie, przez pewien czas nikt nie jeździł na bicyklu, nikt nie grał w lawn-tenisa, nikt nie gonił się na wyścigach. Karolek starał się z całych sił być dobrym królem i ludzie zaczęli mu przebaczać, że wypuścił smoka.



Ogromny smok wyleciał...



...z księgi.

— Ha! — mówili — lawn-tenis i rowery i wyścigi to rzecz nie taka znów ważna, można się bez tego obejść.

W następnym tygodniu radcowie zgromadzili się w sobotę, aby się naradzać, co począć ze smokiem, gdyby znowu zjawił się w niedzielę. Tymczasem Smok wleciał do sali obrad i wszystkich obradujących połknął.

Następnej soboty smok był powściągliwszy; zjadł tylko jeden przytułek dla sierot: ściany, mury i sieroty razem. Karolek był w rozpacz; rozumiał, że to jego nieposłuszeństwo sprowadziło tę klęskę na radców, na sieroty i na cyklistów i czuł, że powinien złe naprawić. Ale jak?

Rajski ptaszek, wypuszczony z księgi, śpiewał ślicznie w ogrodzie pałacowym; motyl fruwał i siadał na różach, a czasem na ramieniu Karolka, więc Karolek wiedział, że jednak nie wszystkie stworzenia z Księgi Zwierząt są złośliwe i myślał:

— A możeby też wypuścić jeszcze jakie zwierzę, któreby pożarło Smoka?

(d. c. n.)

Uważny Chłopczyk.

— Zkądże tak biegniesz, Julku?

— Nie zgadniesz.

— Zkąd przecie?

Czemuż tak dziwny wyraz twarzy ci rozpromienia?

— Oto w zoologicznym byłem gabinecie,

I ochłonać nie mogę dotąd ze zdumienia.

O! jakież ja tam rzadkie widziałem zwierzęta,

Różnobarwne owadki aż się oczu proszą,

Jakie śliczne motylki, muszki i ptaszęta!

Tak drobne, że podobno w kolczykach je noszą.

Robaczki, żuczki... — Czekaj! a w tym zwierząt zbiorze

Słoń czy też się bardzo przedstawia wspaniale?

— Słoń! czyż tam słoń jest także?

— A jest.

— Czy być może!

— No, wiesz Janku, że słońca nie dostrzegłem wcale.

E. L.

PARA WODNA.

Mamusi, trzeba otworzyć okno w moim pokoju, bo bawiliśmy się tam z Jankiem i Józją przez cały dzień, to nagromadziło się dużo *kwasu węglanego* — rzekł do mamy Władzio.

— Cieszę się bardzo, że mój synek zapamiętał, co mówiłam o kwasie węglanym. No, Władku, może mi przypomnisz, co to jest kwas węglany?

— To zepsute powietrze, które z siebie wydychamy i które później jest dla nas niezdatne.

— Doskonale, mój chłopcze. Ale czy wiesz, że my wydychamy z siebie nietylko kwas węglany.

— A co jeszcze, mamusi?

— Weź lusterko i chuchnij na nie. Widzisz, co utworzyło się na szkle?

— Widzę, mammo. Utworzył się rodzaj mgły!

— To mgła, Władziu, jest to para wodna, którą my z siebie wydychamy.

— O, ja wiem, co to jest para wodna! To ta sama, co wydobywa się z gotującego samowara. Ale nie wiedziałem, że i w naszym oddechu jest para wodna.

— Widziałeś, chuchnąwszy na lusterko, że tak jest istotnie. Para wodna znajduje się także i w powietrzu, chociaż jej nie widzimy, dopóki jest tą parą. Ale gdy zmienia się w kropelki wody, wtedy przekonujemy się o jej istnieniu. A przekonać się o tem bardzo łatwo. Czy nie zauważyłeś, że karafka z zimną wodą wniesiona do ciepłego pokoju pokrywa się cienką warstwą rosy, i że z rosy tej tworzą się kropelki wody.

— O tak, uważałem to nieraz i na karafce i na szklance z zimną wodą, ale nie wiedziałem dla czego to tak się robi.

— A teraz już wiesz?

— Wiem, mamusiu. To para wodna pada na szklankę...

— Tak i w skutek nagłego oziębienia skrapla się, czyli zamienia w kropelki wody.

— A czy nie jesteś też ciekawy, Władziu, skąd się w powietrzu wzięła para wodna?

Jeżeli jesteś tego ciekawy, to wlej trochę wody na spodeczek. Przekonasz się, że za dni kilka wody będzie mniej.

— A co się z nią stanie?

— Powietrze ją wypije. Wypija ono tak samo wodę ze strumieni, rzek, jezior. To się nazywa *parowaniem*; mówimy więc, że woda paruje.

— Pamiętasz, jak się wczoraj Marysia cieszyła, że jest ciepło i że bielizna powieszona na górze prędko wyschnie? Czy woda z mokrej bielizny zginie gdzieś bez śladu? Nie, ona nie zginie, bo na świecie nic się nie podziewa bez śladu — ona zamieni się na parę wodną i uleci w powietrze.

— A może Władzio przypomni sobie, jakie to mamy korzyści w życiu codziennem z pary wodnej?

— O, to wiem, mamusiu. Pociągi są poruszane za pomocą pary i statki na Wiśle także...!

— I różne wielkie maszyny, mój synku. Widzisz, jak to mądry ludzie umieli skorzystać z tej pary.

— I ja chciałbym być takim mądrym — szepnął Władzio.

— Przedewszystkiem trzeba, żebyś się dobrze uczył.

— Będę się dużo uczył i będę mądrym, zobaczy mamusia.

Mama uściskała uważnego synka, a Władzio pobiegł po spodeczek, aby zrobić doświadczenie, o jakim mówiła mama.

Zofia Kwiatkowska.

Ciotka Iza.

(Dalszy ciąg).

— Tak, to rzeczywiście smutna historia — szepnęła jakby do siebie — bardzo smutna i dziwna. Ale czy siostrzenica moja przypomina naprawdę tak bardzo pańską żonę.

Pan Dolski uśmiechnął się smutnie.

— Ach, pani, gdybyś była mogła być w mem sercu, co się w niem działo, gdy ujrzałem to dziewczę, nie pytałabyś się pewnie. Wrażenie, jakiego doznałem, stawilo mi na raz całą przeszłość przed oczami! Co za dziwne podobieństwo! to samo czoło, te same oczy koloru habru, ten sam uśmiech, gdy się odezwała do mnie poraz pierwszy, zdawało mi się nawet, że słyszałem głos mej ukochanej Janiny!

Ciotka zerwała się gwałtownie z krzesła.

— Powiadasz pan — zawołała prędko — że jej było na imię Janina?

Pan Dolski zdziwił się trochę tą niepomierną żywością starej kobiety.

— Tak — rzekł spokojnie — i mała moja córeczka miała toż samo imię, dla skrócenia tylko zwaliśmy ją Ninką, Niną.

Ciotka usiadła i zasłoniła twarz rękami. Pan Dolski stanął przed nią.

— Lecz zdaje mi się, że pani swą siostrzenicę przyzywała temże samem imieniem, czy to może w uszach brzmi mi tylko to ukochane imię, może się mylę.

Ciotka Iza nic nie odpowiedziała. Co działo się w tem szlachetnem sercu! Nie mogła dłużej wątpić; zrodzone chwilowo przypuszczenie stało się pewnością, tak, pan Dolski jest ojcem Niny, oddać ją musi! Milczała jednak jeszcze chwil kilka, a gdy odjęła ręce od ócz zwróciła się do niego:

— Panie — rzekła, wskazując mu drzwi do drugiego pokoju, idź pan do niej, do twej córki, to ona, Nina!

Lecz Dolski nie ruszał się z miejsca, stał jakby przykutym, uporczywie wpatrzony w twarz ciotki.

— Nie słyszał może — pomyślała, więc podeszła do niego, ujęła łagodnie jego ręce i rzekła:

— Dziewczynka, którą pan widzisz, nie jest moją siostrzenicą. Przed dwunastu laty, rozbiegane konie zabiły jej matkę, ją zaś ocaliliśmy i ja dotąd ją wychowywałam.

Któż potrafi opisać zdumienie i radość nieszczęśliwego ojca.

— Bóg nareszcie zlitował się nademną — zawołał — wysłuchał mych próśb i oddaje mi skarb utracony. Pobiegł do drugiego pokoju i chwycił w ramiona zdumioną Ninę.

— Chodź, dziecię moje — mówił prędko — chodź i złóż twą jasną główkę na piersiach twego ojca, chodź do niego, aby go więcej nie opuścić. O Boże, Boże — wołał — jakiś Ty dobry, że mi ją wracasz!

Nina wystraszona, nie wiedząc co to wszystko zna-

czy, usiłowała wydostać się z objęć ojca i trwożnie spoglądała na ciotkę, lecz ta uspokoiła ją.

— To twój ojciec — rzekła — uściskaj go, i usunęła się na bok, nie chcąc osobą swoją krępować tych wybuchów rodzicielskiej czułości.

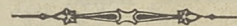
Długo, długo w noc późną nie zagasło światło w oknach białego domku. Ciotka Iza, pan Dolski, obok niego Nina, zdumiona, nie wierząca jeszcze własnemu szczęściu, że ojca odzyskała, rozmawiali o tym dziwnym trafie, o dzieciństwie Niny, porównywano daty, sprawdzano najmniejsze szczegóły. Układano projekty na przyszłość. Ciotka wspomniała o chęci wysłania Niny do szkoły muzycznej, mówiła o jej zdolności do muzyki, o tem, że szkoda byłoby je zaniedbać.

Pan Dolski przyznawał jej słuszność. Tak, powiezie ją do Warszawy, zagranicę, wszędzie, gdzie tylko będzie chciała, ale nie rozłączy się z nią już ani na chwilę. Urządzi dom wspaniale, otoczy ją wszystkim co lubi, czego tylko zapagnie!

— Wszak mi pani żadnych przeszkód stawiać nie będziesz — rzekł w końcu, zwracając się do ciotki, ja wiem, że i ty pani masz do niej prawo, jako tyloletnia wychowawczyni, i to taka szlachetna, bezinteresowna, ale zważ pani, żem ja lata całe tęsknił, żem ją prawie cudem odzyskał. Gdy się nią nacieszę, przywiozę ci ją z powrotem, a później jeszcze, może tak urządzimy, że wspólnie cieszyć się będziemy naszym szczęściem.

Ciotka z miłością spojrzała na Ninę. To jedno spojrzenie powiedziało wszystko! W niem odbiła się cała głębia nieprzebranych uczuć, miłości, przywiązania, jednocześnie jakaś skryta nadzieja, że jej nie utraci na zawsze, a zarazem, zadowolenie, że to, czego ona dać jej nie mogła, znajdzie w ojcu.

(d. c. n.)



SZARADA.

Ułożył Wierny Kolega.

*Pierwszą i trzecią już mała dziecina,
Która zaledwie że mówić zaczyna,
Szczebioce wdzięcznie, bo nazwa ta miła
Jakiemuż dziecku drogą by nie była!*

*Znów pierwszą drugą tam ludzie budują,
Kędy im wody pola, łąki psują,
Co tak szeroko z rzek się rozlewają,
Kiedy w wiosenne roztopy wzbierają.*

*A jeśli drugą przed pierwszą postawisz,
Dziwną odmianą pewnie się zabawisz,
Bo masz materiał co od zimna chroni
Do nas zwożony aż z zamorskich toni.*

*Nareszcie drugą z czwartą połączona
Będzie w ogrodach praktyczna osłona,
W jesienne chłody, lub też wczesną wiosną,
Kędy roślinki po inspektach rosną.*

*Zaś wszystko społem gdy jest zestawione,
Daje nam miasto bardzo oddalone,
Na wielkiej wyspie morza Indyjskiego,
Dziś pod opieką rządu francuskiego.*

ARYTMOGRYF.

Laszka dla Adeli.

- 1) 24, 14, 9, 13, 10, 8. Gatunek psa.
- 2) 5, 7, 15, 23, 1, 19, 24. Rodzaj mięczaków.
- 3) 14, 14, 23, Rzeka w Szwajcaryi.
- 4) 25, 2, 3, 4, 9, 13, 5 Miasto w Prusach n. Wisłą.
- 5) 2, 14, 13, 10, 6, 14, 11. Wódz kartagiński.
- 6) 10, 6, 10, 7. Ptak brodzący.
- 7) 9, 10, 25, 8, 10, 3, 18, 10, 25, 20. Poeta polski.
- 8) 11, 14, 8, 5, 13, 10, 14. Kraj na półn. Europy.
- 9) 3, 7, 8, 10, 9, 5, 7, 10. Mieszkańcy północnych okolic.
- 10) 11, 10, 13, 25, 5, 11, 13. Prezydent St. Zj. Ameryki
[Póln. z XIX w.
- 11) 3, 25, 2, 5. Inaczej odgłos.
- 12) 18, 14, 18, 23, 20, 1, 13, 10, 3, 25. Imię męskie.
- 13) 3. 2. — — Wykrzyknik.
- 14) 11, 1, 19, 10, 14. Postać z „Quo vadis”.

Zastąpić liczby literami tak, aby początkowe i końcowe utworzyły imiona i nazwiska dwóch historyków polskich.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę z rodz. kotów.
3. Instrument muzyczny.
4.
5. Bajeczny rozbójnik.
6. Ptak.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery złożyć mają imię historyka greckiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 42.

Zagadki: *Parki*, greckie boginie. — *Parki*, dzikie ogrody.

Metagramy: Tekla, Hekla.

Łamigłównki sylabowej:

- 1) Jarzębina. 2) Armenia. 3) Narcyz. 4) Naruszewicz. 5) Ichneumon. 6) Epaminondas. 7) Wydra. 8) Delta. 9) Żóraw. 10) Yawari. 11) Dywan.

Jan Niewdźdyd.

Zadania konikowego:

Rebusiku: Kruk krukowi oka nie wykłuje.



Skrzynka do listów.

J. Mikieta niech się osobiście zgłosi do Redakcyi, to może będziemy mogli skompletować brakujące numera.

P. Izabeli Troj.. Stare marki pocztowe wszystkich państw

przyjmujemy z wdzięcznością i odsyłamy je znanym osobom, które zbierają marki dla zarządu Missyi w Belgii. Marki te spożytkowują się na potrzeby missyjne w Azji i Afryce.

Loni P. za przyslaną bieliznę i sukienki dla biednych dzieci z ochronki, w imieniu tych dzieci przesyłamy serdeczne *Bóg zapłać*. Bardzo radzi jesteśmy, że zarówno tobie jak braciom **Zdzisiowi i Romankowi**, drukujące się obecnie powieści przypadają do gustu. Niewątpiliśmy, że „Wzajemna pomyłka” i „Ciotka Iza” zajmą naszych czytelników i nie jedną piękną myśl w nich rozbudzą. Co zaś się tyczy przygód Rougemonta „Trzydzieści lat wśród dzikich” to wiedząc, jakie nadzwyczajne wywołały zaciekawienie wśród młodzieży angielskiej losy tego dzielnego rozbitka, byliśmy pewni, że i u nas z podobnem spotkają się uznaniem.

Sporą wiązanek różnych zadań i łamigłówek przysłała nam **Pszczółka z Pęchratki**, przejrzymy je kolejno i osądzimy, czy będą pomeszczzone.

Od Kozacka, Przepióreczki, Kaprała, Cesi i Niutki C., Józika, Filomenki W i Romana Z., otrzymaliśmy również szarady i łamigłównki własnego układu.

Dobre rozwiązania przysłali dwaj ostatni, **Biała Gołąbka, Waleczny Rycerz, Staś B. i Janek P.**

Chętnie do **Dudka z Wysocic** pisywać będę, ale nawzajem o listy więcej szczegółowe proszę, bo na kilka słów trudno obmyślić odpowiedź. Bardzo rada jestem, że znalazł zaginiony numer, rzecz naturalna, że ci go wysłać nie będziemy. O porządkniejszym chowaniu *Wieczorów* i wszystkich książek swoich radzę ci pamiętać.

Irbaście. List twój daleko mi się więcej podobał, niż pseudonym. Ja osobiście nie jestem ani taką znawczynią, ani taką zwolenniczką starożytnych dziejów Egiptu, żebym ci w wyborze pseudonymu z dziejów tego kraju poradzić mogła, a gdybym i mogła, to możebym nie poradziła, bo taką czytana i chętną do nauki panienkę, z wyrobionemi już upodobaniami stać przecie na wybór pseudonymu, któryby i treścią i brzmieniem jej i mnie się podobał, nieprawdaz? Dziękuję ci, że mnie już wprost nazywasz *Jaskółką*, jest to dla mnie najmiłsza nazwa od moich korespondentek. Nie dziwię się wcale, że lubisz nauki, a zwłaszcza *historję*, kto ma takie ciotce i nauczycielki, (niektóre z nich mamy przyjemność znać dobrze) ten samemu sobie tylko powinien przypisać winę, jeśli nie nabierze zapału do nauki i sztuki. Kto wie, może z czasem nauczysz się odczytywać hieroglify egipskie. Nani roznosiciele we czwartki zwykle obchodzą dalsze dzielnice miasta, a w piątek — bliższe. Ale czy piątek rano to tak późna pora do odebrania pisma z datą sobotnią?

Lilijce z nad Świsłoczy. Opóźnienie w wysłaniu *Wieczorów* nie pochodziło z naszej winy, bo jak tylko prenumerata nadeszła, wysłaliśmy niezwłocznie numer z kwartału IV-go. Za liścik dziękuję, i polecam się twojej miłej pamięci.

Bardzo rada jestem, **Saretko z Sokoła**, że zaliczasz mnie do rzędu dobrych przyjaciółek i że przyjaźń twoją odplacam zupełną wzajemnością. Robota twoja na konkurs wysłana została w porę do oceny konkursowej, bo przed 20-ym października. Czyś mimo to żałowała, że omiadała się podróż do Warszawy i czy masz nadzieję, przyjechać do nas przed zimą? Bardzo ci tej podróży życzę.

Choćbyś pisywał co tydzień **Dobry Braciszku** nie dokuczysz mnie tem bynajmniej, a zrobisz tylko przyjemność, bo ja lubię najwięcej stałych korespondentów. Pytasz, czy mnie zima nie przestrasza? Nie—bynajmniej, bo nie należę do tej skrzydlatej rzeszy, która ulatuje daleko. Siedzę sobie spokojnie i czekam wiosny, byle tylko moi kochani korespondenci i korespondentki nie zapominali o zawsze mi przyzliwej i przyjaznej.

Jaskółce.